

Książęca para holenderska w Krynicy.

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 15 LUTEGO 1937 NR. 11

W 15-lecie pontyfikatu Piusa XI

Jak świat cały poruszony był chorobą Ojca św. Piusa XI, tak dziś łączymy się wszyscy we wspólnej ra-



Ojciec św. Pius XI przy pracy.

dości, na wieść o powrocie do zdrowia Najwyższego Pasterza naszego, łączymy się z życzeniami świata całego, jakie płyną do stóp Ojca św. z racji 15-ej rocznicy Jego wyniesienia na stolicę Piotrową i mimowolnie przypominamy sobie znane fakty, tak ważne i drogie, bo tyczące się Tego, co bardzo jest drogi sercu każdego Polaka-katolika. Wiemy wszyscy — Achilles Ratti przyszedł na świat w Desio, w małym miasteczku na północ od Mediolanu, 31 maja 1857 r., w rodzinie średnio zamożnej. Ojciec, kierownik fabryki jedwabiu pochodził ze starej szlachty wieku XIV. sięgającej.

Nauki pierwsze — w prywatnej szkole rodzinnego miasta, później w gimnazjum, następnie w liceum w Monzy.

Wcześnie odzywa się powołanie kapłańskie. Umacnia je Arcybiskupie Kolegium San Carlo w Mediolanie i Kolegium Lombardzkie w Rzymie.

20 grudnia 1879 r. święcenia kapłańskie, 21. XII. tegoż roku pierwsza msza św. w kościele Lombardów San Carlo al Corso.

Studia na uniwersytecie gregoriańskim w Rzymie — doktorat teologii, doktorat filozofii, pięcioletnia praca nauczyciela teologii dogmatycznej w seminarium duchownym — od 1888 r. kariera naukowa.

Na stanowisku dyrektora Biblioteki Ambrozjańskiej, potem prefekta archiwum watykańskiego „trzydziestoletnie przeżywanie historii ludzkości". Ale nietylko tej dawnej, z aktów i dokumentów, lecz i żywej współczesnej.

Równolegle z nauką praca apostolska: kapelana kongregacji Sióstr Wieczerzy Pańskiej, katechety na kursach przygotowujących dzieci do pierwszej Komunii św., założyciela Związku Nauczycieli Katolickich, kierownika Kongregacji Marjańskiej i związku małych kominiarczyków mediolańskich.

Bujna, owocna działalność.

30 maja 1918 r. Mgr. Achilles Ratti przybywa do Polski w charakterze Wi-

żytatora Apostolskiego. Misja wyłącznie religijna obsadzenia diecezji opustoszałych za rządów zaborczych. — W Warszawie przyjmuje gościnę u ks. Brzeziewicza w domu parafii św. Aleksandra, przy ul. Książęcej — skromne, kilkopokojowe mieszkanie.

Zwiedzanie Polski zaczyna 15 lipca tegoż roku od Jasnej Góry, od Częstochowskiej Pani. — Entuzjastyczne powitania ludności zdobywają od razu serce Wysłannika papieskiego. Czuje się związany z tą ziemią, z tym ludem gorąco pobożnym.

Mianowany Nuncjuszem Apostolskim, wręcza 19 lipca 1919 r. Naczelnikowi Państwa, Józefowi Piłsudskiemu, listy uwierzytelniające. — Nowy węzeł z Państwem polskim.

Otrzymana w katedrze św. Jana w Warszawie 28. 10. 1919 r. z rąk X. Arcybiskupa Kakowskiego sakra biskupia — to dalsze ogniwo duchowe łączące z Polską.

Nie zerwą go dni grozy wobec nawały bolszewickiej w sierpniu 1920 r. Zostaje z nami, gdy inni uchodzą, przeżywa najcięższe chwile krwawych walk — i najwyższe — radości zwycięstwa.

Łączności serdecznej z Polską nie zerwie opuszczenie jej granic w 1921 r. — nie zerwie purpura kardynalska — nie zerwie, owszem ściślej zwiąże, biel tjary papieskiej.

Uroczyste błogosławieństwo „u r b i e t o r b i" udzielone w dniu wyboru na stolicę Piotrową 6 lutego 1922 r. popłynęło i do Polski.

Wiemy — „polski" Papież kocha Polskę i Polska kocha Papieża, Ojca św., Piusa XI.

Ojczyzna królewny Julianny

Przez kilka tygodni gościliśmy w Krynicy 25-letnią księżniczkę holenderską Juliannę, następczynię tronu wraz z jej młodym małżonkiem. Z racji tej warto zainteresować się ojczyzną sympatycznej księżniczki, odznaczającej się niezwykłą skromnością, dużym wykształceniem i szlachetnością. Pisać o Holandii to wielka przyjemność, bo przecie milej jest chwalić niż ganić, a o Holendrach można pisać tylko w samych superlatywach. Jest to kraj niewielki, największym jego bogactwem — to pracowitość, rządność i uczciwość mieszkańców.

Holandia to kraj położony nad Morzem Północnym, u ujścia Renu, Mozy i Skaldy. Ma ona 30.484 km^2, na których pracuje 7.650.000 obywateli. Stolicą jest Haga. Kraj ten ma tę niesłychaną właściwość, że położony jest częściowo niżej poziomu morza. Stąd też Holendrzy zmuszeni są prowadzić stałą walkę z morskim żywiołem. Brzegi muszą być zabezpieczone przez wały ochronne i naturalne wydmy, tamy i groble. Mieszkańcy trudnią się uprawą zbóż, warzyw, kwiatów, hodowlą bydła. Przemysł jest szeroko rozwinięty i wysoko postawiony. Przeróbka surowców kolonialnych jak np.: kakao, trzciny cukrowej itd. Przemysł tekstylny wspaniale postawiony. Od wieków były słynne obrusy holenderskie; obecnie nie mają sobie równych płótna żaglowe. Holandia ma wspaniałe stocznie okrętowe i wysoko rozwinięty handel. Główne porty to Rotterdam i Amsterdam. Posiada wielkie posiadłości kolonialne, głównie w Azji południowo-wschodniej o przestrzeni 2.026.767 km^2 i o 50.000.000 mieszkańców."

Tak brzmi sucha notatka o Holandii w encyklopedii. Ktoś słusznie powiedział: „Sam Bóg stworzył Holendrów a Holendrzy stworzyli Holandię". Jest w tym wiele prawdy. Bóg im dał kraj piaszczysty, nieurodzajny, położony niżej poziomu morza, a oni własną pracą stworzyli krainę mlekiem i miodem płynącą, urodzajną, gdzie obywatele żyją spokojnie i w takim kom-

forcie, o jakim przeciętny Polak pojęcia nawet nie ma. Dość powiedzieć, że już od bardzo dawna każda prawie rodzina żyje w swoim własnym domku — otoczonym zielenią.

Holendrzy są niesłychanie pracowici, a rezultaty tej iście mrówczej pracy są zupełnie zdumiewające. W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu dosłownie wydarli morzu całą prowincję o przestrzeni przeszło 200.000 ha. Zrobili to w ten sposób, że wzdłuż całego wybrzeża morskiego pobudowali t. zw. ostrogi; są to wąskie tamy, idące z lądu w morze na kilkadziesiąt kroków. Przypływ morza wyrzuca piach na brzeg, ale odpływ już go nie zabiera, bo piasek zatrzymuje się na tych ostrogach i tak stopniowo gromadzi się, gromadzi, tworzy wały, diuny, kilka pięter wysokie, setki metrów szerokie. Takim sposobem morze samo buduje te wały, samo się zamyka klamrą, samo się usuwa coraz dalej, powiększając niepostrzeżenie ląd holenderski.

Na tych wydmach piaszczystych Holendrzy budują wspaniałe kąpieliska, przez odpowiednią uprawę i nawożenie zamieniają je na szmaragdowe łąki, na których się pasie śliczne, najmleczniejsze w świecie bydło lub też zamieniają te nieurodzajne piachy na pola kwiatowe lub pola szyb tj. inspektów. Gdy się przejeżdża koleją, sycić można oczy bajecznie kolorowym kobiercem kwiatów rozpościerającym się wspaniale w okolicy.

Kwiaty holenderskie to nie tylko przyjemność, to silny konar gospodarki narodowej. Holandia jest bowiem największym producentem i eksporterem cebulek tulipanów, hiacyntów, narcyzów itd. Co rok wysyła się stamtąd przeszło 25 milionów kg tego produktu.

Charakterystyczną cechą krajobrazu holenderskiego są wiatraki. Siła wiatru jest tam powszechnie używana jako popędowa i do przetwarzania na elektryczność. Holandia węgla prawie nie ma, więc musi go sporo sprowadzić, dlatego też głównie posługuje się elektrycznością.

Do ogólnego dorobku nauki i kultury wnieśli Holendrzy dużo. Dość wspomnieć nazwiska Erazma z Rotterdamu, Hegla, Jansena, odkrywcy mikroskopu, Spinozy i wielu innych. A w malarstwie słynne są nazwiska Rubensa, Van Dycka, Rembrandta, Dürera, Wauwermanna i innych.

Holandia to kraj rowerów — jeżdżą tam na nich dosłownie wszyscy — starzy, młodzi a nawet niemowlęta — są tam bowiem skonstruowane rowery ze specjalnymi koszykami, do których matka pakuje kilkomiesięcznego bobaska i jedzie z nim po sprawunki lub z wizytą. Statystycznie wypada, że co drugi Holender jest właścicielem roweru.

Holandia jest jednym z najbogatszych i najbardziej kulturalnych krajów w świecie. Jednakże postęp i technika nie wyłącza starych tradycyj i konserwatyzmu. Stąd istnieją tu pewne paradoksy, z którymi obcemu przybyszowi trudno się pogodzić. Dotyczy to kobiet.

Holenderki mają całkowitą swobodę kształcenia się i specjalizowania we wszelkich zawodach.

W Amsterdamie założono pierwszy Bank Kobiecy. P. Meijers, dawna sekretarka potężnego banku Rotterdamskiego, widząc w Holandii wiele kobiet niezamężnych, wdów i nawet mężatek, posiadających kapitały i potrzebujących uczciwej rady, jak nimi obracać, założyła bank kobiecy, gdzie pracują same kobiety, i stanęła na jego czele, jako dyrektorka. Dziś po 10 latach mimo kryzysu bank ten ma nie tylko klientelę kobiecą, lecz i męską, prosperuje doskonale i zyskał pełne zaufanie.

Kobiety muszą jednak zwalczać przesądy i uprzedzenia, jak w swoim czasie zwalczały je kobiety adwokatki i lekarki.

Z chwilą jednakże zamążpójścia tracą prawo do wykonywania pracy

zawodowej. Przyznać trzeba, że jest to prawo bezwzględne dla tych istot, które nieraz całą młodość poświęcają, aby wyrobić sobie stanowisko. Jest to także przeszkodą do zawierania małżeństw, gdyż obecnie coraz trudniej obojgu młodym ludziom zakładać dom rodzinny, jeśli oboje nie zarabiają.

To drakońskie prawo dla kobiet zamężnych ma na celu otoczenie życia rodzinnego szczególną opieką. Rodzina bowiem otoczona jest tam szczególnym kultem: wszystkie dążenia i zamierzenia skierowane są do wychowania dzieci. Dom holenderski tchnie dobrobytem, harmonią i czystością, doprowadzoną aż do przesady. Tam nie tylko pokoje i sprzęty, lecz wszystko nazewnątrz lśni i błyszczy od czystości. Stopnie wejściowe, bramy, ściany, chodniki przed domem, nawet drogi są wyszorowane dosłownie na codzień, jak u nas salony na święta. To też się przecież pospolicie mówi: „Czystość iście holenderska".

Dzieci chowane są według nowoczesnych systemów hygieny i pedagogii. Od najwcześniejszych lat wdrażają w nie odpowiedzialność za swe postępowanie. Stąd rodzice mają pełne zaufanie do nich i darzą je taką swobodą, o jakiej u nas nie da się pomyśleć.

Kobiety są prawdziwymi królowemi zacisza domowego. Obok inteligencji i kultury, łączą w sobie wielką prostotę, naturalność obejścia i powierzchowności (rzadko używają pudru i szminek). Konflikty, dramaty rodzinne są prawie nieznane.

Kobieta jest tam królową nie tylko w ognisku rodzinnym, lecz jest to przecież kraj, gdzie na tronie zasiadają prawie już w trzecim pokoleniu z rzędu — kobiety. Niedawno zmarła królowa Emma, obecnie panuje jej córka królowa Wilhelmina, a następczynią tronu jest ks. Julianna.

Sprawując trudny i odpowiedzialny urząd monarchini, królowa Wilhelmina, nigdy nie wypadła z roli dobrej gospodyni domu i najtroskliwszej matki. Osobiście kierowała wychowaniem swej jedynaczki i osobiście zajmowała się wszystkim, co wchodziło w zakres gospodarstwa domowego. Podobno nie tylko zawsze sama dysponuje kuchnią ale pod jej nadzorem znajduje się śpiżarnia pałacowa i codziennie odbywa długie narady ze swą ochmistrzynią. Jest zaś faktem, iż ilekroć udawała się z córką na wywczasy za granicę, pierwszą jej troską było porozumienie się z kucharzem pensjonatowym, co do menu codziennego.

Chociaż małżeństwo ks. Julianny z ks. Bernardem Lippe-Biesterfeld jest małżeństwem z miłości, faktem jest, iż następczyni tronu holenderskiego czyniąc ten wybór, szła nie tylko za głosem serca, ale i za radą troskliwej matki, królowej Wilhelminy. Ks. Julianna była bowiem najlepszą córką ślepo ufającą matce. W wypadku tym zresztą nie chodziło o jakieś dynastyczne koligacje, o jakąś rację stanu a jedynie o to, aby dać przyszłej królowej wiernego towarzysza życia.

Królowa Wilhelmina kierowała się własnym doświadczeniem. Wszakże i ona poślubiając w roku 1901, już jako młoda 21-letnia monarchini, ks. Henryka Meklemburskiego, przyniosła mu w wianie tylko tytuł księcia-małżonka, a mimo to pożycie z nim uważała za najszczęśliwsze i po zgonie jego w r. 1934, pogrążyła się w szczerej żałobie, nie zdejmując długo białej odzieży. który to kolor jest na dworze holenderskim kolorem żałobnym.

Księżniczka Julianna była wychowana bardzo skromnie — opowiadają, że przed kilku laty postanowiono na dworze, aby księżniczka uczęszczała na miejski kurs gimnastyki. Spodziewano się, że księżniczka przyjedzie na kurs powozem w asyście choćby służebnej. Przyszła jednak sama i to — pieszo. Trudno było wyróżnić ją spośród grona zaprawiających się w gimnastyce dziewcząt. W garderobie Juliantie (tak ją nazywają w Holandii), zawołała nagle: — O Boże, jakie

macie piękne koszule! — Tak jest! Księżniczka naprawdę zazdrościła innym dziewczętom bielizny strojnej w koronki i hafty.

— Zawsze marzyłam o jedwabnej koszuli — przyznała się Juliantie, pokazując swą bieliznę z perkalu. W kilka dni potem w towarzystwie przyjaciółek udała się do magazynu i kupiła jedwabną, różową koszulę. Niestety, po kilku dniach piękna koszula skonfiskowana została przez matkę-królowę.

— Młode dziewczęta nie powinny stroić się w jedwabie.

Księżniczka Juljanna, prosta w obcowaniu, wesoła z usposobienia, jest najpopularniejszą postacią w Holandii. „Juliantie" żywi poważne zainteresowanie społeczne. Zwiedzając z własnej inicjatywy środowiska nędzy i ciężkiej doli, poznała świat pracy.

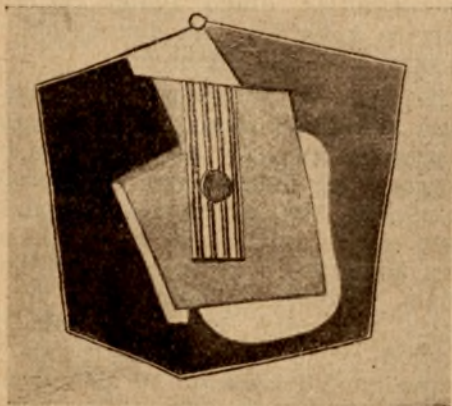
Książe Lippe-Biesterfeld, mąż Julianny, wywodzi się z jednej z najstarszych rodzin niemieckich. Jego przodkowie wsławili się w XIV wieku lecz on był zwykłym współpracownikiem wielkiej firmy barwników. Był zatrudniony w filii paryskiej. Wziął kilkudniowy urlop, by udać się na sporty zimowe w Garmisch. W Garmisch przebywała w tym czasie księżniczka Juljanna. Poznali się na balu. Potem książe Lippe towarzyszył Juliantie na lodowisko łyżwiarskie. Potem — nowy bal, przyjęcie rodzinne. Ogłoszono zaręczyny, a dziś księżniczka jako szczęśliwa żona była naszym miłym gościem w Krynicy i Zakopanem.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Strachy na Lachy

Któregoś roku w Warszawie urządzono wystawę rzeźb i obrazów, tak dziwnie wyglądających, że ktoś z publiczności widząc znajdujący się na sali Minimax (przyrząd do gaszenia ognia) zapytał, czy to także jest jedno z dzieł sztuki.

Działo się to na wystawie tak zwanych ogólnie FORMISTÓW. Publiczność nazywała ich „Futurystami" albo poprostu „bolszewikami w sztuce". Jedni ze zwiedzających ową wystawę wzruszali ramionami nic nie rozumiejąc, inni wyśmiewali się z oglądanych przedmiotów, a jeszcze inni złościli się. Byłem i ja na tej wystawie. Należałem do nielicznych, którzy wiedzieli o co chodziło artystom.



Kompozycja formalna malarska

I jakkolwiek, także nie uznaję przedmiotów, tak ukształtowanych jak eksponaty owej wystawy, za dzieła sztuki równej wartości z obrazami np.: Malczewskiego albo rzeźbami Dunikowskiego, to jednak pragnąłbym, żeby ktoś, kto chce wobec nich wzruszyć lekceważąco ramionami, przedtem umiał zdać sobie sprawę, że tworzący je artyści chcieli czegoś innego niż robienia drwin ze zdrowego rozsądku widzów.

*

W poprzednim artykule rozgadałem się o trzech sposobach przedstawiania jednego i tego samego tematu w dziele sztuki, a więc o rzeźbie, malarstwie i grafice. Wyraziłem się, że kiedy się ogląda np. kwiaty namalo-

wane albo wyrzeźbione, to trzeba umieć ocenić i „zasmakować" w urokach sposobów ich przedstawienia, a więc w pięknie barw, bryłowatości albo szarości.

Róże, najpiękniejsze „jako kwiaty", są w naturze.

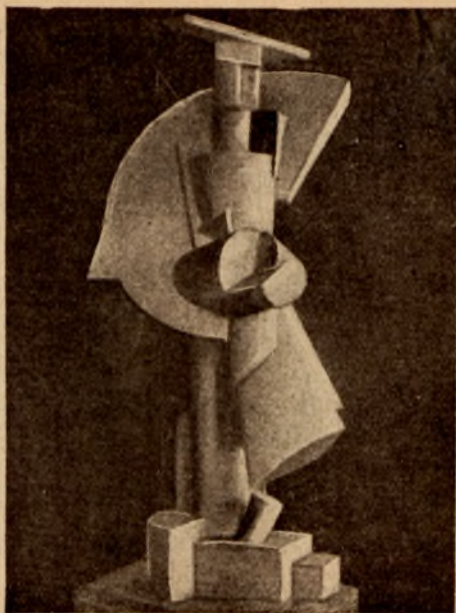
Ale róże na obrazie, w rzeźbie czy na rycinie mają inne piękno artystyczne. I są ludzie, którzy zapominają często „co" przedstawia malowidło, rzeźba czy rycina, zachwycając się tem, „jak" owo coś jest przedstawione. To widzowie. Ale są także artyści, których nie obchodzi „temat przyrodniczy", nie obchodzi ich, czy „coś", co oni malują, albo rzeźbią jest kwiatem, koniem, słońcem czy twarzą człowieka.

Dla nich tematem malowidła są barwy, tematem rzeźby — wypukłości i wklęsłości, tematem ryciny rozmaite stopnie szarości od czerni do bieli włącznie. Muszę tu użyć przykładu z dziedziny muzyki.

Kiedy ktoś gra gamę albo uderza akord, to nie usiłuje udawać śpiewu ptaka, ani szumu drzewa czy rechotania żaby. Chce on tylko ułożyć dźwięki w pewnym porządku, chce, aby te dźwięki wywarły na ucho przyjemne wrażenie — dzięki temu, że są odpowiednio dobrane, ustawione w kolejności albo we współbrzmieniu.

Całe utwory muzyczne polegają na tym, że „skomponowano" w nich dźwięki np. fortepianu w pewnym porządku. Człowiek słuchający tych utworów wie, czuje, że zostały one obmyślane starannie i z miłości dla sztuki. Nikomu nie przyjdzie na myśl śmiać się z nich dlatego, że nie przypominają dźwięków szumiącego lasu sosnowego, albo świergotu budzącego się o świcie ptactwa. Tak samo rzecz się ma z malarstwem.

Istnieją malowidła, których tematem jest zestawienie kompozycji barw, podobnie jak w muzyce była nim kompozycja dźwięków. Dlatego patrząc na takie malowidła nie doszukujmy się w nich podobieństwa do rzeczy widzianych w naturze.



Kompozycja formalna rzeźbiarska.

Zdawajmy sobie tylko wobec nich sprawę, czy nam się podobają jako połączenia barw, tak jak nam się podobają (albo nie) barwno-świetlne efekty przy zachodach słońca np. Zupełnie tak samo patrzymy na rzeźby, których jedynym tematem są układy (przestrzenie) wypukłości i wklęsłości. Cieszmy się albo frasujmy, że te wypukłości i wklęsłości są kańciaste lub krągłe, małe albo duże — ale nie usiłujmy ich oceniać ze względu na to, czy przypominają zwierzęta lub drzewa. To nie ma sensu. Kwadrat lub kula niczego nie udają, nic nie przypominają, niczego nie naśladują. I jeżeli nam się podobają lub nie, to jedynie dlatego, że są właśnie kwadratem i kulą. I jeżeli ułożymy z kwadratów i kul jakieś kompozycje, a dodamy do nich trójkąty jeszcze, to i wtedy będziemy się tymi układami radowali dla nich samych, a nie przez porównywanie do owoców lub ryb.

Jeżeli więc zobaczycie na jakiejś wystawie malowidło, rzeźbę albo rycinę, która nie będzie przypominała ani ja-

błek, ani skrzypiec, ani drzewa, ani wołu, to nie śmiejcie się, jak pierwszy lepszy nieuk, ani nie gniewajcie się, tylko zastanówcie się, czy podobają wam się one jako „k o m p o z y c j e f o r m a l n e“ — na temat barw, brył, albo czarności i bieli. Nie porównywujcie ich z „Grunwaldem“ Matejki, tak samo, jak nie porównywujecie lokomotywy z tygrysem, ani mostu z papugą. Inna to sprawa, czy więcej warte w sztuce są owe „kompozycje formalne“ od obrazów z t r e ś c i ą p r z e d m i o t o w ą, jak pejzaże, portrety, martwe natury, kwiaty i t. p., albo z t r e ś c i ą anegdotyczną, jak obrazy historyczne, rodzajowe czy religijne. Napewno szafa jest ważniejsza od guzika, ale bez guzików trudnoby sobie wyobrazić ubrania, które wieszamy w szafie. Trzeba też wiedzieć, że nie każdy obraz, np. historyczny jest coś wart. Często jest on tylko „bohomazem“ — dlatego, że jego artysta nie umie namalować dobrej kompozycji barwnej. Bo najpierw trzeba umieć dać sobie radę z kolorem, z farbą i pędzlem, zanim się namaluje mądry i piękny temat. Inna rzecz, że samo „rzemiosło“ nie wystarcza, ale o tem kiedy indziej.

Tadeusz Cieślewski.

Artysta i widz

Redakcja zwróciła się do p. Pawlikowskiej z prośbą o napisanie artykułu od „strony malarza“, do czego dąży, tworząc, i czego pragnie od tego, kto ogląda jego dzieła. Zaznaczyła przytym, iż myśl wyrażenia tej prośby zrodziła się przy oglądaniu jej obrazów.

Odpowiedź, za zezwoleniem autorki listu drukujemy:

— List Pani bardzo mię ujął od razu i zjednał, a równocześnie zaskoczył: pierwszy raz w życiu spotyka mnie propozycja napisania artykułu!... Zawsze cieszyłam się, że Pan Bóg dał mi język malarski milczący, którym się można wypowiadać w samotności, w cieple domowym, nie widząc wtedy tych, którzy potem będą patrzyć na moje twory. Jestem chorobliwie nieśmiała, ale list Pani zagadał do mnie tak z bliska, tak ujmująco, że postaram się odpowiedzieć najtreściwiej i najszczerzej.

Najpierw cieszę się, że Pani odczuła moje wspomniane obrazy. To jest największy sukces, jakiego pragnę, aby ludzie odczuwali to, co sama czuję, tworząc coś nowego. Pani intencja zaś, aby młodzież uczyć patrzyć na dzieła sztuki, leży mi strasznie na sercu. To jest jedna z moich bolączek teraz widzieć, jaka przepaść kulturalna dzieli pokolenie przedwojenne, które, jeżeli nie zaznało w pełni, to liznęło kultury — od pokolenia młodego — ich dzieci, dla których kultura jest czymś, co mieszka w muzeach, o czym słyszy się na wykładach i uczy z książek, ale która jest czymś zupełnie zbędnym, leżącym poza nawiasem ich życia, czymś, czego nie potrzebują.

Oczywiście czasy są takie, że wszystko sprowadzać się musi do poziomych konieczności i rodzice nie mogą pozwolić sobie na karmienie dzieci tą samą strawą duchową, którą się oni niegdyś żywili.

Ale także, jest takie powietrze teraz, że kultura nie ma „wysokiego kursu“. Dawniej ludzie darli się do niej, — jeżeli nie odczuwali, to „snobowali“ bodaj. Świetnie określił to jeden... malarz właśnie, z przedwojennego typu: „Gdy się komu dawniej, przed wojną, powiedziało „cham!“ — to była ciężka, okropna obraza. Dziś ten, do którego jest to skierowane, powie na to: „no to co?!“ — Dziś się „snobuje“ w innym kierunku.

Dlatego uważam, że akcja Pani jest niesłychanie ważna i potrzebna właśnie wśród młodzieży, która narasta jako ta nasza przyszłość na historię —

Linoryty L. Pawlikowskiej z teki graficznej pt. „Bogurodzica" kolorowane i złocone.

1. Matka Boska Siewna (Narodziny N. M. P.

2. Królowa Korony Polskiej.



i tak jak Pani pisze: „wierzy najbardziej w to, co było i jest na prawdę". Tylko naogół sztuka dzisiejsza, ta, która się łączy z „wczoraj" — jest mniej zrozumiała dla ogółu, bo bardzo zacieśniona w smakoszostwie malarskim, czysto technicznym, a ogół nie tego szuka w sztuce. Publiczność zaś, straciwszy kontakt ze sztuką, z tym, co w niej świeże, ożywcze, straciła i smak i poczucie.



A sztuka jutrzejsza, ta, która idzie razem z odrodzeniem duchowym, jest jeszcze w pieluchach. I ta dopiero połączy świat twórców ze światem patrzących; wtedy ci, co patrzą, pożywią się duchowo, wzbogacą — a twórcy odżyją, bo się poczują potrzebni znowu!

Bez tego kontaktu zamiera i twórczość — i wyczucie u ogółu.

Ja osobiście szukam w sztuce (gdzie idzie o kompozycję) połączenia malarskich pierwiastków z ekspresją i polskością. Niekoniecznie w treści. Ot np. te obrazy, o których Pani wspomina, są treści religijnej, ale mnie chodziło o to, aby tę treść podać po polsku, nie czerpiąc z żadnego wzoru ani stylu, chyba ze źródeł ludowych, aby brać na świeżo, wprost ze siebie, tak jak czuję. Chodziło o pokazanie świąt Matki Boskiej poprzez polski kalendarz, tradycję, np. Siewna, Jagodna, Zielna itp. — I także o to, aby działać najprostszymi środkami malarskimi czyli linią, a równocześnie dać jaknajwięcej wyrazu. Jeżeli to właśnie tak Panią uderzyło, to vivat!

Ale o tym wszystkim nie potrafię napisać artykułu, choć mam pełno myśli na ten temat, a raczej — czuję go mocno!

L. Pawlikowska.



Lela Pawlikowska. *Św. Kinga uśmierzająca fale Odry.*

Jeden dzień w bolszewickiej szkole

Rano o godzinie szóstej budzi mię moja siostra: „Hanka! Wstawaj, czas do szkoły", ale Hance chce się jeszcze spać, więc powoli wstaje, ubiera się nie śpiesząc, ziewając często i dopiero o wpół do siódmej siada do śniadania. Po śniadaniu zrobiwszy jaki taki porządek wkładam już dobrze podniszczony płaszcz, i ... biegnę do szkoły.

Na dworze paskudna jesień. Szaro, wiatr przenikający do szpiku kości pędzi przed sobą liście, kręci nimi, ciska na ziemię, by po chwili znów je schwycić i rozpocząć zabawę na nowo.

Niosąc książki pod pachą, trzymam ręce w kieszeniach, bo mam kawałek chleba, który ściskam kurczowo, by nie zgubić. Coprawda jest on bez masła, ale i to rzadka rzecz na te czasy. Pogwizduję sobie, bo i co mam robić? gwiżdżąc przynajmniej zapominam, że w domu wypiłam szklankę herbaty bez cukru i bez chleba i ... że jestem głodna.

Zbliżam się do szkoły. Zdala już słyszę dzikie wrzaski, krzyki i... płacz. O Jezu! pewno jakie nieszczęście; już zgóry wiem, że ktoś ma

zwichniętą rękę lub złamaną nogę. Wchodzę do klasy: chłopcy biją się z dziewczynkami, by rozgrzać się, bo jest przeraźliwie zimno, poza tym to rozrywka dla młodzieży bolszewickiej nader miła.

O ile kto myśli, że się pali w piecu, ten się grubo myli; drzewo za dużo kosztuje, więc na takie zbytki nikt sobie nie pozwoli. To też czy lekcja, czy przerwa chodzimy w paltach i kaloszach (rękawiczek się tylko nie nosi, bo to: „pańskie wymysły"), dziewczynki w chustkach, a chłopcy w czapkach.

Zresztą gdybym się rozebrała, odrazu ktoś by mi wziął moje ubranie. Nikt nie wie, że to grzech, jak zresztą mogą to rozumieć, skoro nie znają i nie wierzą w Pana Jezusa?

A co się robi na lekcjach! O! nawet mówić nie warto, na niesumienność i ściąganie nawet uwagi się nie zwraca. Jedni czytają książki niezawsze moralne, inni śpią, lub odrabiają lekcje. Na przerwach zaś kwitnie sport: boks, mocowanie się, podstawianie nóg i niejedna dziewczynka lub chłopiec pokutowali za te zabawy w szpitalu. Tak trwa do godziny trzeciej czyli dużej przerwy trzydziestominutowej. Na tej przerwie kwiat młodzieży posila się tym co kto sobie przyniósł, lecz nigdy sam, należy podzielić się z koleżankami i kolegami, gdyż w przeciwnym razie biada ci! Wybiją cię, a chleb zabiorą i sami zjedzą.

Tak czas mija do szóstej z jednogodzinną przerwą na obiad. Ja jednak nie zawsze chodziłam do domu, bo i poco?! W domu pusto, zimno, nikogo niema, każda rzecz przypomina nieobecność matki, która jest w więzieniu dlatego, że się starała o wyjazd z tego gniazda rozpusty do ziemi ojczystej, dlatego że raz do roku pisała list do swej chorej mamy i siostry. Obiadu też nie ma.

Po obiedzie od siódmej do ósmej szkolne warsztaty są otwarte i musimy pracować przy metalowych i drewnianych tokarniach, hartować żelazo i kolejno pomagać w kuźni.

O ósmej szliśmy do domu na kolację, ale przeważnie o tej to godzinie były zebrania, więc na kolację szłyśmy o 10—11, a nawet i po północy.

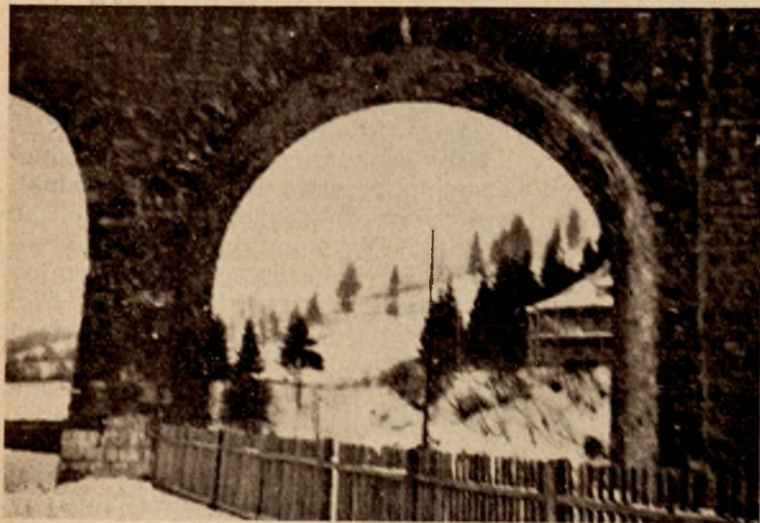
Wróciwszy do domu po takim dniu pracy, nie zawsze zabierałam się do lekcyj, bo zmęczenie nie pozwalało siedzieć nad książką, to też przeważnie szłam od razu spać, ledwo odmówiwszy krótki paciorek.

N. N., ucz. IV. kl. gimn.

List z Worochty

W o r o c h t a, w styczniu.

Ktoś, lubujący się w kontrastach, mógłby od biedy powiedzieć, że Worochta tak się ma do Zakopanego, jak np. Stanisławów — do Warszawy. Jeżeli chodzi o stosunek frekwencji wspomnianych uzdrowisk, to zestawienie powyższe nie będzie przesadzone. Jednak właśnie ta „zaściankowatość" Worochty, czyli jak głosi stempel pocztowy „perły uzdrowisk i raju narciarzy", jedna sobie stałych i gorących zwolenników, którzy podczas krótkich dni wypoczynku szukają rzetelnego piękna przyrody, słońca, i — ciszy. Tak, bo Worochta jest cicha. Nie mącą jej majestatycznego spokoju młodzieńcze okrzyki „wiekuistego bractwa" narciarzy, którzy z wyjątkową zgoła wytrwałością nie dają się zniechęcić do najmilszego sportu tragicznym wieściom o katastrofie pod Howerlą i licznym wypadkom złamania rąk, nóg. Taka to już cała rodzina narciarzy: pokrzykują wesoło, machają kijkami i pędzą jak kolejka wilanowska, a jak który upadnie, to ledwo zdąży pomyśleć:



Worochta — perla naszych uzrowisk.

— Nie rymsnąłem w Warszawie, choć tam tylu stróżów magistrackich, a dopiero tu, w ojczyźnie ludzi zręcznych i rześkich, spotkała mnie ta zawodowa przygoda!

I już szuka, często z pomyślnym wynikiem, nowego guza.

Klimat tutejszy, tak bardzo różny od warszawskiego, sprzyja zdrowiu i dobremu humorowi. Ale najwięcej uciechy sprawia temperatura. 6 rano: — 22 st. C, 12 w południe: + 9 st. C. A myślicie, że kto kaszle i kicha? Kichać można, lecz do kasłania jest 11 pozostałych miesięcy.

Jeszcze jedno, co Worochcie, Czarnohorze i w ogóle całej tutejszej okolicy nadaje specjalny urok. To — Huculi. W szerokiej, futrzanej czapie na głowie, w kożuszku, w koszuli wykładanej na spodnie, w czerwonych, wełnianych, a tak długich, że prawie kolan sięgających, skarpetach, i w płytkich kierpcach, uchyla pokornie Hucuł czapy przed napotkanym przechodniem, witając go słowami:

— Sława Bohu!

Widać z pierwszego wejrzenia, że lud ten, pracowity, cichy i biedny, nie doznał jeszcze na sobie ujemnych wpływów cywilizacji. Zamknięty w górskiej kotlinie (750 m. n. p. m.), pod wieczystą strażą szczytów: Rebrowacza, Foreszczenki, Howerli, na macierzystej glebie, która zboża nie rodzi, tylko ziemniaków nieco przynosi w plonie, zajmują się Huculi hodowlą owiec, a głównie wyrobem talerzy, artystycznie rzeźbionych, pudełek inkrustowanych, makat, kilimów, serdaków, rękawiczek, skarpet i t. p. Bogatsi sprzedają dzieła swych rąk w sklepach, opatrzonych szyldami: „Wyroby Huculskie", biedniejsi chodzą od domu do domu, proponując kupno pamiątek z Worochty

Czasami spotyka się na drodze siwego starca, który już zdaleka ściąga czapkę i czeka z gołą głową. A gdy, obdarowawszy go groszem, zapytasz,

— A pomodlicie się?

Odpowiada kiwając głową:

— Pomolu sja. Za wasze szczasliwe panowanie.

I odchodzi . . . Słychać jeszcze tylko skrzyp śniegu i słowa szeptanych po rusku pacierzy.

W Wigilię rozbrzmiewały majestatyczne góry echem śpiewanej kolędy,

Worochta — raj narciarzy.



którą przed dwustu laty „poeta serca" chwalił przyjście Bożego Dziecięcia:

„Bóg się rodzi, moc truchleje..."

A gdy pieśń doszła do słów:

„Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą..."

to w głębi serca zakiełkowała ta najoczywistsza prawda, że gdyby Boże Dziecię podniosło rękę, aby błogosławić „krainę miłą", to zaczęłoby od gór, które są najpiękniejszą koroną ziemi, a których mieszkańcy mają dusze czystsze, prostsze i bliższe Boga, niż nasze.

Wiesław Pyrek.

Jeden papieros

Było może wpół do czwartej, gdy Adam Wydra doszedł do przekonania, że palnął głupstwo. Dotąd wcale mu to nie przyszło do głowy, ale w tym momencie doznał jakby nagłego oświecenia: — Palnąłem głupstwo — pomyślał i szczerze się zmartwił. Siadł więc spokojnie na śniegu i zapalił papierosa.

Wiadomo, że nic tak nie rozjaśnia myśli jak dobry papieros, w tym jednak wypadku stał on się powodem wielu kłopotów i powikłań.

Wypalenie papierosa trwa mniej więcej pięć minut i właśnie te pięć minut stawały mu później stale na przeszkodzie.

Rzuciwszy niedopałek do śniegu Adam Wydra podniósł się z gotowym planem działania: zarzucił plecak, przypiął narty i ruszył do Ciemnosmreczyn.

Choć Wydra nie był w dziecięcym wieku, miewał jednak dziecinne pomysły. Dziś np. spotkał przy Ciemnosmreczyńskim Stawie turystę narciarza pnącego się mozolnie po stromym zboczu prowadzącym na Wrota Chałubińskiego. Narciarz był człowiekiem małym i otyłym, typem raczej bilardowym niż turystycznym. Ujrzawszy Wydrę począł wymachiwać kijkiem i wołać, by zbliżył się do niego, co Wydra uczynił niechętnie, gdyż musiał zbaczać z drogi.

— Najmocniej pana przepraszam, — mówił gruby turysta — ale doprawdy nie zdobyłbym się na to, aby schodzić wdół do pana, a potem znów wspinać się w górę...

— Ja jednak musiałem to zrobić, odparł Wydra. — Ale o co panu chodzi?

— O to, czy dobrze idę — czy dojdę tutaj na Gładką Przełęcz?

Adam Wydra wiedział, że Przełęcz Gładka leży daleko stąd w przeciwnym kierunku, zły był jednak, że musiał nadrobić tyle drogi więc odparł:

— Tak jest, tędy prosto w górę.

— A czy to jeszcze daleko?

— Ale skąd znowu! Godzina drogi.

— Czy będzie tam dobry zjazd do Pięciu Stawów? — Bo ja jeszcze nie bardzo czuję się pewny na nartach...

— Zjazd wyśmienity!

— O to doskonale... bardzo panu dziękuję i jeszcze raz przepraszam za fatygę... bardzo dziękuję...

Po spłataniu niemądrego figla humor Wydry poprawił się znacznie to też odpowiedział wesoło:

— Oh, proszę nie dziękować, — doprawdy niema za co!

Rzeczywiście nie było za co, nie wiedział jednak o tym gruby turysta. Począł piąć się w górę, podczas, gdy uprzejmy informator zjeżdżał w dół swoją drogą. Była wtenczas godzina druga. — O wpół do czwartej przyszły wyrzuty sumienia:

— Co ten biedaczysko tam robi teraz? — myślał Wydra: — Jak on zjedzie z Wrót Chałubińskiego? Jeszcze gotów kark skręcić...

Adam Wydra przyspieszył kroku na ile mu tylko sił stało. Dotarł do Ciemnosmreczyńskiego Stawu. — Niema nikogo.

— Com nawarzył, to trzeba wypić, pomyślał i ruszył w górę ku Wrotom. Na przełęczy zauważył świeże ślady nart. Nadzieja wstąpiła mu w serce. Huknął na całe gardło i nadsłuchiwał czy kto się nie odezwie. Odpowiedziała cisza. Huknął po raz drugi z tym samym skutkiem. Zaczął więc zjeżdżać w dół.

Nim znalazł się w Dolinie za Mnichem zapadł mrok. Odnaleźć ślady po ciemku było niepodobieństwem, należało też myśleć o sobie. Nie łatwa to rzecz trafić w nocy do schroniska. Adam Wydra miał cichą nadzieję, że odnajdzie tam już grubego narciarza.

Wtem, gdy rozpoczynał ostrożny zjazd wydało mu się, że jakaś sylwetka mignęła w pobliżu.

— Halloo! — zawołał

— A czego? — odparł głos.

— Niechno pan poczeka chwilę!

Wydra zbliżył się szybko, będąc przekonany, że natrafił na poszukiwanego narciarza. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał przed sobą postać chudą i wysoką, zgoła odmienną od tej której się spodziewał.

— Przepraszam pana — rzekł z rozczarowaniem w głosie — wziąłem pana za kogo innego. Ale czy nie widział pan przypadkiem małego, grubego narciarza z wielkim plecakiem?

— Owszem widziałem, odparł nieznajomy — nie dalej jak pięć minut temu.

— Gdzież on poszedł?

— Poszedł, o ile się nie mylę, w stronę Szpiglasowej Przełęczy.

Wydra zaklął szpetnie. Był tak zmęczony, że ledwie trzymał się na nogach. Zapytał jeszcze:

— Mówi pan, że nie dalej jak pięć minut temu?

— Najwyżej pięć. .

Adam Wydra ruszył bez namysłu w stronę Szpiglasowej Przełęczy. Zrobiło się już niemal zupełnie ciemno, tem bardziej, że gęste chmury zakryły księżyc, Adam kroczył mozolnie, wykrzykując co chwila w nadziei, że może zostanie usłyszany. Wtem wiatr rozdarł chmury i na góry spłynęło srebrne światło księżyca. Wydra wytężył wzrok, lecz dalszą część drogi zasłaniała skała. Nim zbliżył się do niej upłynęło pięć minut, gdy mógł się już naocznie przekonać, czy gruby

narciarz znajduje się na zboczu, księżyc zniknął ponownie za chmurami.

— Ze wszystkim spóźniam się o pięć minut, pomyślał ze złością.

W tej chwili przypomniał sobie, że właśnie te ostatnie pięć minut przed wyruszeniem poświęcił wypaleniu papierosa.

— Przeklęty papieros!

Szedł dalej z największym wysiłkiem.

— Zostawiłbym go w spokoju — myślał Wydra. — Nic nie poradzę a sam mogę zabłądzić lub wpaść w jaką dziurę. Tak — najlepiej będzie wracać; pal go licho.

Mimo to szedł dalej i jeszcze raz huknął na całe gardło. Tym razem doszedł go zdala jakiś głos.

— Jest! — zawołał Wydra i skierował się w tamtą stronę.

Nie dalej jak 200 metrów zobaczył skuloną postać narciarza — małego i grubego. Pobiegł pędem w górę, potykając się, plącząc, wtłaczając kijki między narty to znów narty pod kijki. Jeszcze pięć minut, a dosięgnie przedmiot swej długiej pogoni...

Lecz w tej chwili stało się coś, czego się mógł najmniej spodziewać.

T. Polcyn.

(Dokończenie nastąpi.)

Pod dyskusję

Chciałam odpowiedzieć klasie VII gim. 668 i redakcji. Formę i ujęcie artykułów w Nr. 6 i 7 uważam za bardzo dostępne dla wszystkich. Musimy przecież liczyć się z tym, że „Dziś i Jutro" jest czasopismem nie tylko dla starszego gimn. ale i dla klas młodszych. Mimo tego, że sama jestem w IV kl., a więc wszelkie naukowe problemy zajmują mnie lub muszą zajmować — to jednak nie jestem za tym, aby „Dziś i Jutro" zajmowało się tylko zagadnieniami czysto naukowymi.

Po pierwsze wiem z własnego doświadczenia, że młodsze uczenice wolą nowelki, lub życiorysy, niż suche sprawozdania, czy artykuły naukowe, których tyle mamy w szkole.

W Nr. 5 i 7 były bardzo ciekawe obrazki z życia księżniczki Elżbiety i Pasteura — czytałyśmy je z prawdziwą przyjemnością. Pochłonęły nas również artykuły społeczne (Nr. 3 „Wymowa czynów") czy omawiające niedolę ludzi („Dzieci ulicy"). Te zagadnienia wzbudzają w nas uczucia, myśli i pragnienia ogarniające szersze warstwy. — Rzeczy naukowe? Mamy szkołę, podręczniki, książki — jeżeli się chce, to można z powyższych korzystać. Zresztą uczyć się musimy. — Niech więc przynajmniej „Dziś i Jutro" szerzy idee bliższe, niech uczy nas patrzyć na życie nie ze względu na nasze „ja", a pod szerokim kątem widzenia niedoli ludzkiej, życia społecznego i niech nas zaznajamia z faktami i wydarzeniami aktualnymi. Omawianiu tematów naukowych nie jestem zupełnie przeciwna. Może dałoby się przynajmniej na pół stronie stworzyć „kącik naukowy" dla starszych. Ale niech „Dziś i Jutro" nie będzie jeszcze jedną lekturą obowiązkową „historii literatury czy kultury klasycznej".

E. M., Kraków.

W odpowiedzi na listy

Podhalanka. Dziękuję za zajmujący artykuł i wiadomości. Jeśli się da, umieszczę go w Nr. 11.

Brakujące numery „Dziś i Jutra" wyślę; proszę je uważać za „autorskie". O dacie 5, 6, 7, II. będę pamiętała. Szczęść Boże!

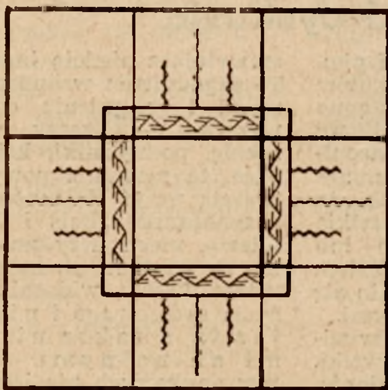
Danuta Wiśniewska, kl. III gim. 523. Dziękuję za „Morskie Oko". Zupełnie się z Tobą zgadzam, Danusiu: nie zrażasz się w pracy trudnościami, które każdy człowiek o silnej woli umie zwalczać dla osiągnięcia upragnionego celu. Z artykułu widać zainteresowanie tematem i pewną systematyczność. Trochę jeszcze więcej oczytania, wyrobienia pod względem stylu, umiejętności patrzenia na zjawiska — i na pewno będą rezultaty! Czekam na obiecane dalsze prace.

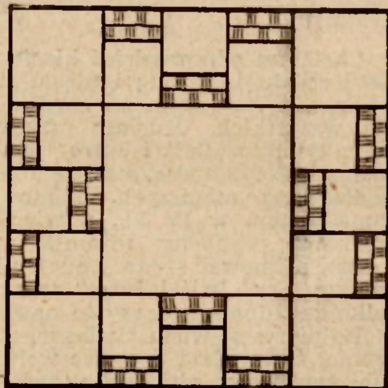
J. K., kl. II gim. 440. Artykułu tym razem umieścić w piśmie nie mogę. Próbuj swoich sił dalej — wzmacniaj pióro pracą i... nie zrażaj się!



Z KRWAWEJ HISZPANII
Komunistki-milicjantki udają się na front. Ale najpierw fotografia!

Serwetki





Według jednego z podanych wzorów można zrobić komplet serwetek do podwieczorku, 6 serwetek pod filiżanki i jedną większą na środek stołu, którą zrobimy łącząc 4 małe serwetki w jedną większą. Materiał: lniane płótno i nici mouliné różne kolory. Zastosować rozmaite ściegi: łańcuszkowy, gałązkowy, dzierganie itp. Wykończyć można na 3 sposoby: 1) brzegi założyć i obdziergać, 2) brzegi założyć i wykończyć pikocikami t. zn. 3 słupki nienawijane i 2 oczka złączone w pikocik (to się powtarza), 3) trzy centymetry od brzegu serwetkę obdziergać po nitce, poczym nitki płótna z brzegu aż do linii dziergania usunąć, tak, że utworzą się frendzle.

Hanna L., Stanisławów.

TREŚĆ N-ru 11:

Warunki prenumeraty: rocznie w kraju 5 zł.
„ za granicą 7 zł.

Numer pojedyńczy 30 gr.

Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.

Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.

Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.

Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31.

Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.